



MARTIN HOLMÉN KLINCZ

OTO NAJWAŻNIEJSZA WALKA W ŻYCIU
MIERZ DOBRZE, UDERZAJ BEZ WAHANIA!

Tytuł oryginału: Clinch

Tłumaczenie: Alicja Rosenau

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-283-2607-1

Copyright © Martin Holmén, 2015

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland.

Polish edition copyright © 2017 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

CZEŚĆ PIERWSZA

Poniedziałek, 12 grudnia

Patrzę kontrolnie na mój zegarek marki Viking. Jest już dwadzieścia po siódmej. Stoję w deszczu przed domem Zetterberga, w miejscu, gdzie najwytworniejsza ulica w mieście spotyka się z ciemnymi zaułkami. Tutaj, w kwartale domów wokół kościoła Świętej Klary, nocami rządzą handlarze walut, drobni złodziejaskowie, alfonsi i dziwki. Wśród hoteli, biur bukmacherskich i nielegalnych barów oszuści z całego miasta czają się na prowincjuszy, którzy w swoich niedzielnych ubraniach, z zaczesanym na mokro przedziałkiem zjeżdżają do stolicy przez Dworzec Centralny. Godzinę później są oskubani do czysta jak zarżnięta gęś.

Deszcz nie jest w stanie oczyścić powietrza, które przesycza mdły odór ustępów, spalin i koks. Na styku ulicznych świateł i wilgoci błyskają tory tramwajowe przecinające przez środek ulicę Kungsgatan. Mam na nogach letnie półbuty z dziurkowanym wierzchem, moje stopy są już przemoczone. Gdyby było kilka stopni mniej, padałby śnieg. Poranny szron ciężko oblepia przewody elektryczne już od paru tygodni.

— Bieda zaczyna się od wszy, ale kończy na butach — mruczę do siebie głosem zachrypniętym od cygar i wódki wypitej do popołudniowej kawy. Lekko przytupuję na bruku, by obudzić zdrętwiałe palce stóp. Jeśli Zetterberg jest w domu i dzisiejsze zlecenie dobrze pójdzie, kupię sobie porządne zimowe trzewiki. Nie jakieś cielece z drewnianymi ćwiekami czy inne byle co z taniego Sko-Konsum. To ma być kozła skórka prima sort.

Dozorca jeszcze nie zamknął bramy. W przedsionku widać białą, wyszorowaną posadzkę z marmuru. Ze schodów leje się gruby czerwony dywan, jak krwotok z nosa. Z kieszeni mojego płaszcza typu ulster wyjmuję list i rozkładam go, próbuję złapać słabe uliczne światło.

Dzisiejsze zlecenie dotyczy nieuiszczonej zapłaty za używane auto. Niejaki Elofsson z Ovanåker sprzedał starego opla Zetterbergowi i został oszukany. Jeśli uda mi się wycisnąć z dłużnika brakujące dwa tysiące sto koron i wyślę je w ciągu pięciu dni, mogę zatrzymać piętnaście procent.

Tak oto zwraca mi się ogłoszenie w „Landsbygdens folk”^{*}.

Zlecenia z prowincji często dotyczą jakiejś zbiegłej do miasta chłopskiej córki, którą odnajduję w hotelu na godziny albo w burdelu na Gamla stan[†] i wsadzam w pociąg do domu, ale prawie tyle samo mam spraw związanych z długami. Czasem ktoś chce kogoś zniszczyć, a ja nie mam nic przeciwko temu, o ile zapłata jest odpowiednia.

Dziewka ze wsi to dla mnie większy zarobek niż zapłata za rower, ale mniejszy niż za samochód czy porachowanie komuś kości.

W półmroku sprawdzam tablicę z nazwiskami lokatorów. Zetterberg, na samej górze. Wychodzę znów na ulicę i mrużąc w deszczu oczy, patrzę na szaro tynkowaną fasadę. Jeśli dobrze policzyłem okna, ptaszka nie ma w gnieździe.

A może jest w domu i śpi?

Znów wchodzę do bramy. Krata windy chrzęści głośno w ciszy. Ktoś zdusił papierosa na przycisku z numerem sześć. Dywan wyściełający schody nie sięga aż do najwyższego piętra. Zdejmuję mój szeroki krawat w duży deseń, zwijam go ostrożnie i chowam do kieszeni. Zetterberg ma podwójne drzwi i dzwonek z czarnej blachy.

Walę w drzwi, aż pobrzękują matowomleczne szyby. Żadnej odpowiedzi. Dokonuję inspekcji zamka. Nie stanowiłby wielkiego problemu, ale gdybym czekał na Zetterberga w środku, zostawiłbym mu drogę ucieczki. Uderzam w drzwi jeszcze raz, teraz trochę mocniej.

^{*} Ze szw.: życie wsi. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

[†] Ze szw.: stare miasto.

Za moimi plecami słycać zgrzyt zawiasów. Wionie zapachem gotowanych warzyw i smażonej kiełbasy. Odwracam się. Patrzy na mnie niewysoki drobny mężczyzna w binoklach. U nasady jego włosów drga kilka kropelek potu. Odchrząkuje:

— Mogę panu w czymś pomóc?

Jego głos skrzypi bardziej niż drzwi.

— Mam sprawę do Zetterberga. Wie pan, kiedy on wraca do domu?

— Niełatwo powiedzieć. Czasem bywa późno. W niektóre wieczory wcale nie wraca. Zwykle słyżę, kiedy przychodzi do domu.

Drobny mężczyzna stuka się palcem w ucho, żeby pokazać, że ma jeszcze dobry słuch. Tłumię westchnienie. Przepuszczalnie czeka mnie kolejny długi wieczór na deszczu.

— Tak bardzo hałasuje?

— Tego nie powiedziałem!

— Ale się zdarza?

— Czasem wraca z towarzysstwem. Jest dużo bieganiny. Słycać gramofon.

— Może mógłbym zająć do niego do pracy?

— Jest szoferem.

— W taksówce?

— Nigdy go nie widziałem w uniformie.

Mężczyzna mierzy mnie bacznym spojrzeniem i jeszcze trochę uchyla drzwi. Wygląda na życzliwego typa, przepadającego za towarzysstwem. Zaczynam się bać, że zaprosi mnie do środka, żebym zaczekał, więc szybko kończę rozmowę. W drodze na dół w windzie znów zakładam krawat.

Brama biurowca naprzeciwko domu Zetterberga to znakomity punkt obserwacyjny. Przed Oscarsteatern i kinem Palladium po drugiej stronie Vasagatan ubrani wieczorowo ludzie pod osłoną swoich parasoli zaczynają się zbierać na wczesne seanse. Wielu mężczyzn musi przytrzymywać swoje wysokie cylindry, kładąc dłoń na rondzie. Szczupła blondynka w długim futrze grozi palcem jakiemuś gońcowi. Może pomylił się w zamówieniu, kiedy stał w kolejce po bilety.

Studzienka na rogu ulicy jest zatkana błotem. Woda rozpuszcza końskie łajno, a podmuchy wiatru roznoszą słodkawy zapach odchodów pomiędzy domami. Gdzieś skrzypi wiatrowskaz albo szyld jakiegoś sklepu.

Uliczna latarnia przed domem Zetterberga jest zepsuta, a sklepikarze z Kungsgatan jeszcze nie zdążyli wywiesić bożonarodzeniowych lampek. Pionowy neon na fasadzie przy hotelu Carlton opodal tylko częściowo zastępuje źródło światła.

Wyciągam z kieszeni cygare marki Meteor za sześć öre i odgryzam końcówkę. Potrząsam pudełkiem zapalek. Zwykle w każdym było po pięćdziesiąt sztuk, ale przez ostatnie lata ich liczba zmalała.

Teraz gazety sprzedają papiery wartościowe Kreugera^{*} w pakietach w dziale „Inne”. Otwieram pudełko.

— Nie dość fosforu, żeby spędzić płód, ale dla Kvista wystarczy — mruczę do siebie i zaczynam kopcić.

Kawałek dalej przy Klara Norra Kyrkogata naprzeciwko piekarni Vetekatten wyje jakiś bezdomny pies — mężczyzna w pelerynie z futrzanym kołnierzem i w gamaszach okłada go laską. Kundel ma kudłatą sierść w brązowe łaty. Jego łapy są za krótkie w stosunku do tułowia. Stoi przyciśnięty do ściany.

— Siad, czarci pomocię! Siad, powiadam!

Mężczyzna znów uderza psa po grzbiecie. Rozpaczliwe skomlenie zwierzęcia odbija się echem od ścian.

— Przestań pan, do cholery! — krzyczę przez deszcz i wychodzę kilka kroków na Kungsgatan.

Wytworny jegomość nieruchomieje na chwilę z laską wzniesioną nad głowę i gapi się na mnie. Kundel zmyka z podwiniętym ogonem na skrzyżowanie i o mało co nie zostaje rozjechany przez staro forda model A. Mężczyzna z laską pośpiesznie odchodzi ulicą.

^{*} Kreuger Ivar — szwedzki przedsiębiorca nazywany „Królem zapalek” (jego concern kontrolował około 250 fabryk zapalek w 43 krajach, prawie 80% światowej produkcji). W latach Wielkiego Kryzysu poniósł duże straty i w 1932 roku popełnił samobójstwo.

Znów wracam do swojej bramy. Nie ma żadnego powodu, żeby tak maltretować psa. To ta przekłeta późna jesień. Chłód i mrok przenikają ludziom pod skórę, powodując wewnętrzne szkody.

Z cygarem w kąciku ust markuję od niechcienia kilka ciosów bokserkich, żeby utrzymać ciepło. Powiniennem założyć dodatkowy podkoszulek i zabrać krzyżówkę. Ciekaw jestem, jakim typem okaże się Zetterberg, czy ma jakieś wytłumaczenie.

Sportowy dwuosobowy mercedes-benz z opuszczoną budą w kolorze czarnym niemal bezgłośnie przesuwa się obok. Młodzik za kierownicą pewnie dopiero co dostał prawo jazdy. Nasze spojrzenia się stykają i szczeniak uśmiecha się porozumiewawczo, jakby mnie poznał, jakbyśmy byli jakimis̄ konspiratorami.

Porzucam moje niezdarne próby rozgrzania się i odprowadzam wzrokiem samochód. Silnik wydaje głośny warkot, kiedy auto skręca w stronę placu Norra Bantorget i znika. Nie zauważam kobiety, który wślizguje się do bramy za moimi plecami, dopóki ta nie odezwie się do mnie swoim dźwięcznym dialektem z Dalarny.

— Ależ pogoda nam się trafiła na świętej Łucji*.

Ciężki zapach perfum i madero. Odwracam się szybko. Chyba nie ma jeszcze dwudziestki. Krople deszczu zbierają się na jej stożkowatym wełnianym kapelusiku jak małe przezroczyście rzepy. Ciemne ziarniste kontury wokół lekko skośnych brązowych oczu zaczynają się rozplęwać. Płaszcz z czarnego szewiotu jest wyświechtany w niektórych miejscach, ale pod nim rysuje się pełna sylwetka i dorodny biust. Jest akurat w moim typie, nie jestem zainteresowany.

Kobiety zawsze rzucały mi się pod nogi. Stary bokser cały w bliźnach. Wydaje mi się, że one w jakiś sposób wyczuwają, kim jestem, a nie ma kobiety, która oparłaby się takiemu wyzwaniu. Dziewczyna uśmiecha się i mówi dalej.

— A cóż on porabia tak na deszczu?

— Czekam na przyjaciela, który się trochę spóźnia.

* Dzień św. Łucji przypadający 13 grudnia to ważny dzień w szwedzkim kalendarzu, obchodzi się wtedy święto światła, śpiewa tradycyjne pieśni, spożywa specjalne wypieki i pije grzane wino.

Rozwrzeszczana grupka chłopców wyglądających na uliczników przecina Kungsgatan. Ich głosy są jeszcze jasne, ale już skażone tabaką i głośnymi przekleństwami. Kilku zatrzymuje się i mierzy mnie wzrokiem. Demonstracyjnie rzucam niedopałek cygara w ich stronę i prostuję się dumnie.

— Cholerny drab.

To jeden z najmniejszych zebrał się na odwagę. Spod kaszkietu wystaje nierówno obcięta grzywka w kolorze pszenicznego blondu. Chłopiec ma krótkie spodnie i wełniane podkolanówki. Podeszwa jednego z trzewików jest przywiązana brudną sznurówką.

Kiedy wychodzę poza moją Syberię^{*}, zdarza się od czasu do czasu, że jakieś szczeniaki wykrzykują za mną podobne rzeczy. Faceci nie mają odwagi, kobiety też nie. Schodzą mi z drogi, kiedy się zbliżam. Czują przede mną respekt jak przed groźnym psem. W domu na Roslagsgatan jest oczywiście inaczej. Wielu mnie pozdrawia, niektórzy nawet z uśmiechem. W zeszłym miesiącu byłem zaproszony na przyjęcie pod czterdziestym pierwszym. Nie miałem czasu iść.

— Bo Harry Kvist to był chłop jak dąb — podśpiewuje inny z chłopców, najwyraźniej mnie rozpoznał. Instynktownie zaciskam pięści. Czuję, jak tętnica na czole pod rondem kapelusza zaczyna mi pulsować.

Przekleństwami i pogroźkami starsi koledzy zaganiają chłopców dalej, ku swoim celom w zaułkach. Rozpuszczone bachory. W ich wieku dźwigałem na plecach stukilowe worki cukru albo soli w obcych portach lub szuflą przerzucałem tony węgla, pilnowany przez psy. Zapalam nowe cygaro.

— A co macie w planach, pan i pański przyjaciel? — To znowu ta dziewczyna. — Zamierzacie świętować Łucję w jakimś lokalu?

— Nie.

Starszy mężczyzna z parasolem i laską spacerową ze srebrną gałką zatrzymuje się przed bramą Zetterberga. Ma szarą bródkę i melonik. Otwiera bramę i wchodzi do środka. Czyżby to był on?

^{*} Nieformalne określenie części sztokholmskiej dzielnicy Vasastaden.

— Mam na imię Sonja — mówi dziewczyna i wyciąga rękę. Jej paznokcie mają żałobne kanty.

— Kvist.

Przelotnie ściskam jej dłoń. Ulicą ardeńska klacz ciągnie wóz wyładowany pustymi beczkami po piwie. Ciepło końskiego ciała unosi się w powietrzu jak mgiełka. Podkute żelazem kopyta stukają o bruk. Woźnica siedzi sztywno jak posąg z gasnącym papierosem w kąciku ust i lejcami w jednej ręce. Drugą schował za pazuchę jak Napoleon.

Światło w mieszkaniu Zetterberga się nie zapala. Deszczówka rwie rynsztokami obok nas. Sonja ma pantofle na obcasie, z lakierowanej wężowej skóry. Tak samo praktyczne w tę pogodę jak moje dziurkowane półbuty. Zaciągam się głęboko, a potem wydmuchuję dym kącikiem ust.

— Pracuję jako pomywaczka w kawiarni na Drottninggatan. Czy raczej na Teknologgatan, można powiedzieć.

— Chyba przestaje padać — stwierdzam, wystawiając dłoń poza bramę.

— I wynajmuję pokój w pensjonacie Comfort, niedaleko stąd. Najpierw dzieliłam go z koleżanką, ale teraz mieszkam w nim całym sama.

Kiwam głową bez szczególnego zainteresowania. Sonja szpera w torebce i znajduje zachowany na potem niedopałek, bridge z ustnikiem.

Dalej szuka czegoś w torebce i zaczyna opowiadać o jakimś łobuzie, który ją okradł i zdradził.

Nie słucham. Po drugiej stronie jakaś postać zbliża się sprężystym krokiem prosto do bramy domu Zetterberga. Facet wchodzi w wiek średni, ubrany jest w elegancki trzyczęściowy garnitur, płaszcz z szerokimi klapami i kapelusz borsalino. Ma atletyczną budowę, ale jest kilka rozmiarów mniejszy ode mnie. Waga półciężka, może średnia. W miesiącach letnich jestem w stanie ocenić wagę mężczyzny z dokładnością do kilograma, ale jesienią i zimą jest to trudniejsze. Mężczyzna wchodzi do bramy naprzeciwko i wkrótce w mieszkaniu na najwyższym piętrze zapala się światło.

Zetterberg wrócił do domu.

— Zapałki?

Podskakuję zaskoczony.

— Co pani mówiła?

— Pytałam, czy ma pan zapałki?

Kiwam głową, nie spuszczać wzroku z domu Zetterberga, i wyciągając do niej moje pudełko zapałek. Coś mi w tym wszystkim nie pasuje, ale odpędzam to wrażenie. Niedopałek ląduje w rynsztoku i odpływa jak łódeczka z kory. Rozgrzewam kark, odginając głowę na boki, i rozpinam płaszcz oraz marynarkę, żeby mieć swobodę ruchów.

Nie żegnając się z Sonią, wyglądam skórkowe rękawiczki i przechodzę na drugą stronę ulicy. Znów ulicą przejeżdża szukający rozrywki młody człowiek w czarnym sportowym wozie. Przemoczony do suchej nitki woźnica z otwartą budą wstrzymuje konia i woła coś do mnie poprzez deszcz. Nie słyszę jego słów.

Myślę o spotkaniu z Zetterbergiem. Jeśli mi się poszczęści, może nawet będzie stawiał opór. Potrzebuję tego.

Poniedziałek, 12 grudnia

Winda właśnie zjeżdża na dół, ale ja nie chcę się z nikim spotkać, więc idę na górę schodami. Dotarłem, posapując, na piąte piętro, gdy dopadły mnie moje dawne duszności. Rozrywają mi piersi. Staję pochylony naprzód z dłońmi na kolanach i wypluwam na czerwony dywan flegmę ze śliną.

Stoję tak przez chwilę, aż mój oddech się uspokoi, potem ruszam dalej na szóste piętro. Idąc do mieszkania Zetterberga na samym końcu korytarza, zdejmuję krawat, zwijam go i wkładam ostrożnie do zewnętrznej kieszonki mojego ulstera.

Tym razem korzystam z dzwonnka.

Słyszę zbliżające się kroki. Szyba z mlecznego szkła w drzwiach lekko brzęczy, kiedy zamek nie chce się poddać, ale zaraz drzwi się otwierają. Mężczyzna ma jedno oko zielone i jedno brązowe. Włosy leżą gładko na głowie, przyklepane przez borsalino, które teraz znajduje się na półce po prawej stronie, wysoko za plecami mężczyzny. Sądząc po zapachu, używa mojej marki pomady, Fandango: „Włos trzyma fason przez cały dzień”. Szelki zwisają mu na uda, rozpiął też koszulę. Wita mnie uśmiechem. Pierwszy ząb trzonowy z prawej w górnej szczęce jest zastąpiony złotym.

— Tak?

Zaglądam do środka ponad jego ramieniem. Długi ciemny przedpokój prowadzi w głąb mieszkania. Najwyraźniej nie ma w nim innych osób.

— Mam wiadomość dla niejakiego Zetterberga.

— To ja.

Kładę dłonie na jego klatce piersiowej i popycham tak mocno, że upada do tyłu. Pociąga ze sobą krzesło z czerwoną pikowaną poduszką.

Wchodzę do środka i zamykam za nami drzwi. Potem natychmiast się odwracam, żeby nie dostać krzesłem w potylicę. Zetterberg nie ma jednak takich zamiarów. Pełźnie kilka metrów do tyłu podparty łokciami, obok małego stolika, telefonu przytwierdzonego do

ściany i wysokiego lustra w złotych ozdobnych ramach z zawijającymi. Facet ma wyraźnie słabość do złota.

Kiedy idę w jego stronę, podnosi się i odwraca do mnie plecami. Próbuje uciec dalej do mieszkania, ale łapię go za kołnierz. To odpinany model, więc przez chwilę stoję z kołnierzykiem w garści, ale jeszcze udaje mi się złapać kołcówkę koszuli Zetterberga. Szybko przyciągam go do siebie.

Lustro obok dźwięczy, kiedy rzucam mężczyznę na ścianę. Ten otwiera usta. Błyskawicznie przykładam prawą dłoń tuż nad jego jabłkiem Adama. Facet charczy krótko, a potem głupio wykrzywia twarz. Naciskam trochę mocniej, a on staje na czubkach palców.

— W sierpniu tego roku kupiłeś pan używany samochód od niejakiego Elofssona z Ovanåker. Wyłożyłeś pan trzysta koron przy odbiorze wozu i miałeś zapłacić kolejne dwa tysiące sto za miesiąc. Nie zrobiłeś pan tego, więc Elofsson się trochę zezłościł.

Zetterberg bulgocze coś w odpowiedzi. Czy on myśli, że będziemy pertraktować? Obiema rękami próbuje rozluźnić uścisk wokół szyi. Klasyczny błąd nowicjusza. W prosty sposób mogę kontrolować siłę nacisku na jego gardło, jak tylko chcę. Jego ciało jest wyciągnięte i odsłonięte. Właśnie tak, jak tego chciałem.

Wpatruję się w jego palce. Są nienaturalnie szczupłe i blade jak palce włoskiego gipsiarza. Na prawej ręce błyszczą sygnety z kilkoma czerwonymi kamieniami.

Wbijam mu pierwszego prawego sierpowego w wątrobę. Tylko amatorzy celują w splot słoneczny — jedynie porządny cios w wątrobę czy okolicę serca daje jakieś efekty. Głowa rozkazuje jeden sierpowy, pamięć mięśni zaś dwa szybkie. Jestem posłuszny głowie. To zawsze był mój ulubiony cios. Można odłożyć rękawiczki na półkę, ale potem potrzeba dużo czasu, żeby zmyć zapach z dłoni.

Sprzeczne impulsy sprawiają, że Zetterberg szarpie się w niekontrolowany sposób. Jedna jego część chce zgiąć się w pół, a druga uwolnić od dłoni ściskającej gardło. Nachylam się nad nim, tak blisko, że rozpoznaję zapach wody Aqua Vera, tabaki i ziołowych cukierków na kaszel.

— Już dobrze, już dobrze — szepczę mu uspokajająco do ucha.
— Masz pan dobrą, żeby zdobyć mamonę.

Ślina napływa mi do ust. Rozluźniam zacisk na jego gardle, pozwalam mu zaczerpnąć powietrza tylko po to, żeby móc go znowu uderzyć, w środku wydechu. Taki sam cios w to samo miejsce, ale tym razem go puszczam — facet się przewraca i bezwładnie pada na dywan przedpokoju. Przechodzę nad nim i uśmiecham się do swojej pokrytej bliznami twarzy w lustrze. Zapinam guziki marynarki i przyglądam się sobie. Marynarka ma tak szerokie klapy, że zakrywają prawie całą klatkę piersiową. Powiniennem częściej nosić ciemnoniebieską koszulę do czekoladowobrązowego garnituru w prążki. Znow rozpinam guziki marynarki, stawiam kołnierz koszuli i zawiązuję krawat na podwójny węzeł. Mam ochotę zapalić.

Zetterberg płacze. Leży skulony w pozycji embrionalnej, ramionami otacza brzuch i próbuje uspokoić oddech, a równocześnie łka i siąka nosem jak dziecko. Nie jest to przyjemny widok.

— Jutro wieczorem — powtarzam, rozluźniając kark kilkoma ruchami głowy. Rozglądam się po przedpokoju za czymś, co mógłbym rozbić, żeby nadać groźbie więcej powagi. Spoglądam na telefon naścienny, jednak przesuwam wzrok dalej. Na wieszaku wisi parę eleganckich płaszczy jeden obok drugiego. Szkoda, że nie mamy tego samego rozmiaru. Pod nimi parę lasek w stojaku na parasole. Za daleko.

W końcu łapię za brzeg lustra i zrzucam je na niego.

Brzęk szkła odbija się echem między ścianami wąskiego korytarza. Zetterberg wydaje z siebie krótki, przenikliwy krzyk, ale się nie porusza. Leży nadal pokryty odłamkami lustra i szlocha.

Rozważam, czy nie podejść po laskę i jednak trochę mu jeszcze dołożyć, ale rezygnuję z tego. Należy umieć dostrzec, kiedy ktoś ma dosyć. Martwy klient nie spłaci długu, a poważnie ranny wyląduje w szpitalu. To cienka granica. Na początku często lądowałem po jej niewłaściwej stronie, ale to było lata temu. Teraz wiem, co robię.

Resztki lustra chrzęszczą mi pod stopami, kiedy idę do drzwi. Na chwilę jeszcze przystaję i przeciągam dłonią po ulsterach na wieszaku, zatrzymując się przy eleganckim płaszczu z wielbłądziej

welny. Rygiel zamka wydaje cienki trzask i już jestem z powrotem na ciemnej klatce schodowej.

Winda ze zgrzytem jedzie do góry, więc ja szybko zbiegam schodami na dół. Posadzka z białego marmuru wygląda w ciemnościach niemal jak szary łupek. Otwieram bramę, stoję na chodniku i spoglądam w niebo pokryte czarnymi chmurami. Przestało padać. Po omacku szukam w kieszeniach cygar. Młody mężczyzna z wózkiem pośpiesznie przechodzi obok. Koła z żelaznymi obręczami dudnią na bruku.

*

Spoglądam w górę na ciemne niebo. Jutro wieczorem będę mu musiał złożyć kolejną wizytę. Jeśli ma tak wytworny adres i tyle płaszczy, raczej nic nie wskazuje na to, żeby Zetterberg był gotów opuścić miasto z powodu dwóch tysięcy stu riksdalerów. Rechoczę do siebie, wyjmuję z kieszeni kopiowy ołówek, zwilżam go końcem języka i wpisuję do notesu liliowe cyferki z moimi piętnastoma procentami.

Czterysta pięćdziesiąt koron za niecałą godzinę pracy.

Nieźle, w dodatku całkowicie zgodnie z prawem. Lepsza zapłata niż za jakiegokolwiek inne zlecenie w drugiej połowie lata. Zastanawiam się, czy nie uczcić tego zarobku w jakimś nielegalnym barze, których jest pełno w co drugiej bramie w stronę Klary, kiedy widzę, że Sonja jeszcze nikogo nie złapała.

Rusza powoli w moją stronę z nieśmiałym uśmiechem. Gdy podchodzi bliżej, dostrzegam, że ma trochę krzywe nogi.

Powstrzymuję ją gestem oznaczającym, że właśnie zmierzam w przeciwną stronę. Z jakiegoś powodu posyła mi zalężnione spojrzenie, ale potem kiwa głową, odwraca się na pięcie i znów idzie w górę Kungsgatan.

Gwizdzę pod nosem szlagier Ernsta Rolfa *Coraz lepiej z dnia na dzień* i skręcam na południe, żeby wsiąść do trójki jadącej na plac Odenplan.

Nielegalnych barów ze szmuglowaną wódką nie brakuje także u mnie na Syberii. Na Vasagatan mijają mnie podzwaniający tram-

waj otoczony chmurą zielonych iskier elektrycznych, odprowadzam go wzrokiem.

Wtedy zauważam samochód.

Czarny mercedes stoi zaparkowany w świetle neonu Carltona. Szczypty młodzieniec nachyla się nad karoserią i wygładza fałdy swoich pump, kiedy podchodzi bliżej. Ma białe skarpety do kolan. Na głowie duży miękko opadający kaszkiet, do tego sportowa marynarka i sweter. Chłopak ma bez wątpienia pieniądze i gust, a jednak przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałem. Mam wrażenie, że czekał właśnie na mnie. Zwalniam kroku.

— Papierosa?

Chłopak lekko sepleni i wyciąga do mnie paczkę stamboulów.

Mały palec jego lewej dłoni zdobi złoty pierścionek. Zatrzymuję się i biorę od niego papierosy. Chłopak lekko przygryza dolną wargę, w kąciku jego ust czai się uśmiech. Wyciągam jednego papierosa, wkładam go do ust i oddaję mu paczkę. On wyjmuje automatyczną złotą zapalniczkę. Chwytam jego ręce i przytrzymuję w swoich, próbując osłonić płomień przed podmuchami wiatru. Ten chłopak nigdy nie pracował. Przelotnie gładzę grzbiet jego miękkiej, bezwłosej dłoni. Pod wpływem dotyku ciało młodzieńca przebiega lekkie drżenie. Zapalniczka zgrzyta daremnie raz za razem. W końcu wspólnymi siłami udaje się nam zapalić papierosa. Chłopak cofa swoje dłonie, ale przedtem przesuwam mi delikatnie palcami po policzku, z dołu do góry. Ktoś z tyłu za nami przy hotelowych drzwiach się śmieje. Słyszę stukot wysokich obcasów uderzających w bruk ulicy. Chłopak nie zwraca na to uwagi. Dla niektórych wszystko jest takie proste.

Choć goliłem się dzisiaj rano, pieszczota powoduje szmer, jakby ktoś zamiatał się słomianą miotłą. Wiem, że długo będę pamiętał tamten dotyk.

— Czy to auto nie jest dla pana kilka numerów za duże?

Zaciągam się dwa razy i szybko rozglądam na boki.

— Ech, tylko pan zazdrościsz.

Zmiata dłonią krople deszczu z budy i strząsa wodę z dłoni. Uśmiecha się promiennie. Między przednimi zębami ma wielką szparę.

— Mogę obejrzeć?

Nachylam się i oglądam uważnie deskę rozdzielczą z jakiegoś jasnego drewna i chromowane wskaźniki.

— Może się pan nawet przejechać kawałek na próbę.

Prostuję się i spoglądam na chłopaka. Przez parę sekund jego kasztanowobrazowe oczy patrzą prosto w moje. Jest w moim guście, jeśli chodzi o wiek i budowę ciała. Czy będę musiał mu zapłacić? Najwyraźniej pieniędzy mu nie brakuje, ale po co inaczej by mnie zaczepiał?

— Okej.

Chwilę później skręcamy w moją ulicę. Jedziemy w ciszy. Przez moment myślę, że on należy do tych refleksyjnych typów, jakie czasem trafiają się wśród chłopców w jego wieku, którzy nie mają nic do roboty. Jednak zmieniam zdanie po ukradkowym zerknięciu w stronę młodzieńca. Jego spojrzenie jest bez wyrazu. Usta ma półotwarte. Koncentruję się na prowadzeniu samochodu. Może ten chłopak robi takie rzeczy co wieczór. Kiedy ma się forszę, wszystko jest takie oczywiste, takie łatwe. Może po prostu znalazłem się na jego drodze tego wieczoru.

Samochód reaguje natychmiast, gdy tylko wciskam pedał gazu, i z głębokim pomrukiem rozwija zawrotną szybkość. Dobrze znane szyldy Roslagsgatan migają nam przed oczami: trafika wdowy Lind, golarnia Nyströma, handel detaliczny Ströma i sklep towarów mieszanych Bruntella. Kilku smarkaczy około dziesięcioletnich z ogłuszającym wrzaskiem goni za samochodem przez jakieś dwadzieścia metrów.

Przebiega mnie dreszcz, kiedy młodzieniec kładzie dłoń na mojej odzianej w rękawiczkę pięści spoczywającej na drążku zmiany biegów.

Zmieniam bieg, jakbym chciał zrzucić z siebie tę dłoń, i decyduję się na śmiałe wyminięcie jednego z pomalowanych na szaro ambulansów szpitala epidemiologicznego. Chłopak głośno wciąga powietrze i nuci coś pod nosem. Przypominam sobie, po co siedzę w tym aucie.

Poczekaj tylko, chłopaczku, myślę sobie.

Kvist zaraz nauczy cię tego i owego.

Zbliżamy się do ceglanego budynku szkoły powszechnej w najwyższym punkcie Roslagsgatan, gdzie zawraca tramwaj numer sześć. Rickardsson, jeden z gangsterów Plomana, który zajmuje się szmugłem spirytusu tu na Vasastan, gapi się z rozdziawioną gębą, kiedy go mijamy. W lusterku wstecznym widzimy, że odprowadza nas wzrokiem. Ten drab zawsze się na mnie gapi, jakby szukał okazji do bitki.

— Możesz sobie tak stać, aż ci ptaki w gębie gniazdo uwiją.

— Słucham?

— Nic takiego.

— Proszę powiedzieć.

— Nieważne.

Chłopak wytrząsa papierosa z niebieskiej paczki. Nagły rozbłysk zapalniczki oświetla jego twarz. Kładzie jedną rękę na brzuchu, a drugą podpira na niej pionowo. Trzyma papierosa blisko twarzy, ale nie pali.

Nagle czuję, jak ogarnia mnie zniechęcenie. Nie wiem dlaczego.

Mijamy wzgórze ze szpitalem epidemiologicznym na szczycie, kiedy chłopak od niechcenia wskazuje głową park Bellevue. Zwalniam i kieruję auto w długą aleję bezlistnych lip prowadzącą do parku. Żwirowana droga sprawia, że odgłosy samochodu zmieniają tonację. Mijamy ciężarną kobietę w chustce na głowie, która niezdarnie idzie pod górę, podtrzymując obiema rękami brzuch. Dom Pascha na górze niedawno został przejęty na przytułek dla ubogich. Chłopak się śmieje. Znów spoglądam na niego ukradkiem. Nie rozumiem tego gówniarza.

Pagórkowaty teren ciemnego parku i zarośla oferują wiele kryjówek, choć to raczej nie będzie potrzebne, bo mało kto tędy chodzi po zachodzie słońca. Ubodzy też pewnie siedzą w swoich kwaterach w ten zimny grudniowy wieczór.

Kieruję się do najwyższego punktu w całym parku. Gdy spojrzeć na południe, widać stąd sylwetki domów na szczycie wzniesienia Brunkebergsåsen i kopułę kościoła Wazy. Na północy, pomiędzy nagimi gałęziami drzew, można dostrzec czarną wodę opustoszałej

zatoki Brunnsviken, pozbawioną żagli. Zjeżdżam z dróżki i parkuję na trawniku.

Gdy wyłączam silnik, chłopak natychmiast rzuca się na mnie. Całuje mnie głęboko, intensywnie. Smakuje tytoniem. Dyszymy, każdy swoim własnym rytmem, dłonie wędrują ku pachwinom. Chłopak okazuje się jednak kawałem faceta.

Wyrywamy się ze swoich objęć i wyskakujemy z samochodu. Ślizgam się na mokrej trawie, muszę podeprzeć się kolanem, ale zaraz wstaję. Nasze kroki mlaszczą na wilgotnym podłożu. Wchodzimy w kłincz przy masce samochodu. Z daleka dobiega gwar miasta. Reflektory samochodu nadal się palą. Całe światło pada na jego plecy.

Padam na kolana z otwartymi ustami, jak wtedy, kiedy miałem przyjąć komunię od mojego dawnego księdza Augusta Gabrielssona. Kolana zagłębiają się trochę w trawę, wilgoć szybko rozchodzi się na uda. Rozpinam guzik spodni chłopaka. Ma pod spodem krótkie gatki z gumką. Zsuwam kapelusz na tył głowy i jednym szarpnięciem drżących dłoni ściągam mu spodnie i gatki do kostek. Reflektory samochodu rzucają kaskady światła między jego nogami.

To dobrze rozwinięty chłopak. Obaj wdychamy, kiedy moje usta obejmują jego fiuta. To nie jest zwykły, niedomyty rekrut, z jakimi najczęściej się zadaję. Mlaszczę.

Drugą ręką rozpinam swoje spodnie. Grudniowy wieczór pieści mnie swoimi zimnymi dłońmi. Wyciągam język i połykam go w całości kilka razy, aż do samego gardła. Oczy zachodzą mi łzami, chłopak dyszy i pojękuje. Podoba mu się to.

Metodycznie pracuję dalej. Mięśnie szczęk mi cierpną, wyszedłem z wprawy. Czuję dobrze znane drżenie na podniebieniu. Przyśpieszam rytm. Zdecydowanie, wilgotno i szybko, tak to należy robić.

Nasze głośne jęki mieszają się z piskliwymi odgłosami dwóch szczurów, które walczą w krzakach obok nas, podczas gdy chłopiec zalewa mi usta aż po brzegi. Powstrzymuję chęć połknięcia, wypływam wszystko na dłoń i smaruję tym mojego fiuta. Podnoszę się, chwytam go za kark i zmuszam, żeby stanął nachylony nad maską.

— Teraz kolej na Kvista.

Powoli, lecz konsekwentnie wchodzę w niego coraz głębiej. Jest tam ciepło i przyjemnie, jakby zejść do kotłowni po wachcie na mroźnym pokładzie. Chłopak postępuje z bólu, pociąga nosem i próbuje się wywinąć, ale nie ma się czego chwycić. Wkrótce zaczyna iść ławiej i jego pojękiwania ustępują pełnym rozkoszy westchnieniom. Przyśpieszam. Takie młodziki potrafią szczytować dwa razy pod rząd.

— Tak jest dobrze, mój chłopcze.

Popycham go na czarną karoserię. On odsuwa się, usiłuje chronić reflektory. Ozdoba na osłonie chłodnicy odłamuje się z głuchym trzaskiem. Gdzieś w głębi mojego ciała czai się atak kaszlu. Na trawie tańczą nasze cienie. Od strony Albano słychać przenikliwy gwizd lokomotywy. Kropla soków chłopca uporczywie trzyma się mojego kącika ust. Zlizuję ją i obiema dłońmi naciskam jego kręgosłup, żeby jeszcze bardziej się wypiął, wtedy będę mógł wejść w niego całkowicie. Księżyc wygląda zza ciężkich chmur, jego poświata zderza się ze światłami samochodu. Trupi blask zabarwia pośladki chłopca na kolor mlecznobiały i przez chwilę mam wrażenie, że spótkuję z greckim posągiem.

W domu mam w szafie pistolet marki Husqvarna, który zabrałem ze służby wojskowej. Wystrzeliłem z niego parę razy i zawsze dawał solidny odrzut. Tak samo teraz wyładowanie odbija się w moim ciele, kiedy wreszcie szczytuję. Chłopiec jeszcze uderza o mnie trzy, cztery, pięć razy, aż w końcu i on osiąga spełnienie. Zdyszany kładę się na nim na kilka sekund, z nosem wtulonym w jego kark, mój członek sam się z niego wyslizguje. Prostuję się i robię parę kroków do tyłu.

— A niech mnie — mamrocze, oddychając szybko.

Czasy, kiedy biegałem dziesięć kilometrów poniżej trzech kwadransów, minęły bezpowrotnie.

Chłopak podciąga spodnie i odwraca się do mnie. Ja stoję z dłońmi na kolanach, spodniami nadal w okolicy kostek i kaszlę. Chłopak podochodzi do mnie. Kładzie mi dłoń na ramieniu i cicho chichocze. Podnoszę na niego oczy. Cholerny gówniarz. Niektórzy wszystko dostają podane na srebrnej tacy i mogą bezproblemowo ślizgać się przez życie, podczas gdy inni muszą niewolniczo pracować na każdy łut szczęścia.

Tętnica na moim czole zaczyna pulsować. Do ust napływa ślina. Może to przez jego cholerny seplenienie. Pewnie jest opóźniony w rozwoju. W jego wieku powinien się już nauczyć mówić jak normalni ludzie, ale i tak najgorszy jest ten uśmiezek wyższości.

Znów wciąga dolną wargę w ten uwodzicielski sposób i dalej głupkowato się uśmiecha. Przyglądam się jego ocieplanym trzewikom. Są porządne, drogie i wyglansowane. Nabieram powietrza w płuca i wydychuję je przez nos, częstując go szybkim lewym ciosem z dołu w podbródek. Prosto w sam środek.

Pracę nóg utrudniają mi częściowo spodnie, przez co cios traci trochę na sile, ale i tak odrzuca chłopaka do tyłu, po czym ląduje na ziemi. Znów opieram dłonie na kolanach i zgięty wpół kaszłę. Chłopak leży na plecach z rękami rozrzuconymi na boki. Reflektory tworzą wokół niego świetlny półokrąg. Scena wygląda znajomo. Spod krwawiącej wargi wystają zęby.

— To raczej nie wyleczy cię z tego cholernego seplenienia.

Coś trzeszczy w moim kręgosłupie, kiedy prostuję plecy. Zdejmuję kapelusz i ocieram pot z czoła wierzchem dłoni, a potem podciągam spodnie. Chłopak wydaje z siebie płaczliwy, bulgotliwy odgłos gdzieś z głębi krtani. Wyjmuję z kieszeni cygaro, żeby pozbyć się tego posmaku w ustach, potem po omacku szukam zapalek, ale ich nie znajduję.

Podchodzę do chłopaka, wyjmuję złotą zapalniczkę z kieszeni jego spodni i przez chwilę obserwuję jego problemy z oddychaniem. Trzymam zapalniczkę tak, żeby odczytać imię, które jest wygrawerowane po przekątnej. *Leonard*. Chowam zapalniczkę do kieszeni i wyciągam moją cebulę. Jest wpół do dziewiątej.

Wielu ludzi pobiliem do nieprzytomności, niektórych załatwiłem tak, że nie mogli potem normalnie funkcjonować, na długie miesiące wprowadziłem ich w stan śpiączki, ale nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Przechodzi mnie drżenie.

Zanim ruszę w krótką przechadzkę do domu, przekręcam chłopaka na bok, żeby krew mogła spływać.

Wtorek, 13 grudnia

Lundin wrzuca kilka żetonów do licznika gazu na ścianie, potem z lekkim buchnięciem zapala kuchenkę i stawia na ogniu garnek z wodą na kawę. Od około dziesięciu lat prawie codziennie jemy śniadanie w jego kuchni na tyłach zakładu pogrzebowego. Kuchnia wygląda niemal identycznie jak w moim mieszkaniu piętro wyżej.

Siedzę przy stole, a Lundin kręci się przy kuchence. Za oknem wychodzącym na Ingemarsgatan akordeonista zgrzytliwie wygrywa jedną wzruszającą ludową piosenkę za drugą. Agent pogrzebowy i ja śpiewamy razem z nim *Narzeczona lwa*, aż szyby dzwonią. Obaj pociągnęliśmy po łyku prosto z butelki stojącej na stole, żeby przygotować grunt pod kawę z dolewką.

Zajączki rzucane przez instrument przemykają po tapetach, żółtych w zielone kwiaty, a miedziane naczynia kuchenne, które wiszą nad piecem, posyłają je dalej.

— Rozbrzmiewa ryk, o Boże mój, na sztuki lew piękną pannę rwie...

Słońce odbija się też w złotych plombach Lundina, kiedy ten przy końcu wersu otwiera usta na całą szerokość.

Słoneczne refleksy śmigają wokół balii do naczyń z przepiłowanej na pół beczki po śledziach, po białych emaliowanych pojemnikach z niebieskimi napisami, by zbłądzić na chwilę na półkę z mydłem i innymi przyborami do golenia, zanim grajek na ulicy odchyli się do tyłu z instrumentem rozciągniętym na brzuchu i wyśle błyski światła na strych, na sznury do prania na górze.

— Chleb też mamy. Słoninę i ser. I dla każdego po bułeczce szafranowej dla uczczenia dzisiejszego święta. Co brat na to powie?

Suszarnia na strychu jest pusta. Tak samo jak ja Lundin oddaje swoje pranie naprzeciwko, do Bedy od marynarza. Nie wiem nawet, ile on ma czarnych garniturów. Kiedy nie zakłada swojego wysokiego cylindra, zaczesuje pasma siwych włosów na łusą czaszkę. Jego zapadnięte policzki są zawsze starannie ogolone. Krzaczasty wąs wygląda, jakby siedział krzywo, bo Lundin zawsze wyciera go wierzchem dłoni, od lewej do prawej strony.

Ludzie z dzielnicy mówią, że on sprowadza ze sobą nieszczęście, że pachnie jak zmarli.

Ja tam nie wiem. Na pewno nie tak, jak ci rozkładający się w każdym razie.

Lundin rozsiewa słodkawy, lecz duszący zapach. Przypomina opadłe owoce. Zbliży się teraz do siedemdziesiątki. Ze swojej zapadniętej piersi wydusza straszliwy kaszel, jeszcze gorszy niż mój. Może sam jest w drodze na drugą stronę.

Kilka razy już myślałem, że przyszła na niego kryska. Cierpi na padaczkę i czasami przewraca się w ataku, który rzuca nim i wprawia w drgawki. Sam twierdzi, że zawsze wstaje rano z kurami i wykonuje gimnastykę przy radiu z pułkownikiem Uggłą.

— I jeszcze jedna miarka dla dzbanka, i jedna ekstra, tak po prostu.

Wsypuje kopiate łyżki mielonej kawy z torebki do garnka z wodą. Obaj lubimy mocny wywar, pity z kostką cukru w zębach i solidną dolewką wódki. Grajek na ulicy zaczyna teraz *Króla złodziei*. Siedzę i bujam się na sosnowym krześle w samych spodniach z szelkami i podkoszulku. Zawsze schodzę do niego w skarpetach. Lundin bierze głęboki oddech. Kawa zaczyna wrzeć, a on ściąga garnek z ognia, żeby mogła naciągnąć jeszcze trochę. Krząta się chwilę po kuchni, po czym stawia na stole chleb i szafranowe bułeczki z piekarni na Ingemarsgatan. Jest w nadzwyczajnie dobrym humorze. Chyba dlatego, że umówiliśmy się na zapłatę czynszu. Poprosiłem o zwłokę do święta Łucji. Zlecenie z Zetterbergiem przyszło w samą porę. Otwieram okno i rzucam pięćdziesiąt öre grajkowi, który wprawnie łapie je pomiędzy dwoma dźwiękami.

Pajęczyny w oknie odsączają smętne światło dnia i rozpylają je na stole. W rogu parapetu leży zeschnięta osa. Lundin ustawia nakrycia i siada naprzeciwko mnie. Akordeonista kończy swój numer, Lundin nalewa do filiżanek kawy i po łyku wódki, po czym przysuwa do mnie chleb własnego wyrobu z mąki, jajek i cukru.

— Niech je chleb rozumu, niech pije wodę roztropności.

Wkłada sobie kostkę cukru między zęby i podnosi filiżankę. Ja robię to samo, po czym obaj wypijamy kilka rozgrzewających łyków.

W gardle czuję piekący ból od przygody w parku Bellevue z wczorajszego wieczora. Wyciągam szeroką szufladę spod stołu i pobrzękuje sztuczcami.

Lundin bierze do ręki księgę rachunkową i uderza nią o kant stołu. Otwiera na stronie z literą K i powoli przesuwając swój brązowy od tabaki palec wzdłuż rubryk.

— Co my tu mamy...

— Chyba to samo co w zeszłym miesiącu.

— To będzie czynsz plus dwutygodniowa zwłoka... — Wyjmuje ołówek i mały scyzoryk, żeby go zaostrzyć.

— Chyba tyle samo co w zeszłym miesiącu?

Sięgam po portfel do tylnej kieszeni spodni i kładę go na stole. Lundin stawia kulfony w zeszycie.

— Trzy litry po sześć. — Gładzi wąż wierzchem dłoni. Odgryzam kawałek chleba. Szóstka podzwania na Roslagsgatan. — Jajka pięć razy, kiełbasa siedem i trzy razy szynka.

— Przecież nie mieliśmy żadnej szynki...

Lundin unosi do góry swój brązowy palec:

— Trzy razy szynka. Możesz porównać z książką u B—b—brun-tella z kodakiem — mówi Lundin, naśladowując jąkanie się handlarza.

— To nie jest konieczne.

Biorę łyk prosto z butelki i odstawiam ją na stół. Lundin stuka w nią dwa razy obsadką pióra, a potem zapisuje w kajecie.

— Sto dwadzieścia siedem i pięćdziesiąt. Ani mniej, ani więcej. Z dokładnością co do jednego öre.

— To o trzy korony mniej niż w zeszłym miesiącu.

— Mniej o trzy dwadzieścia pięć.

— To się nam podoba. — Zdejmuję gumkę z portfela i otwieram go.

— Nawet biedak może się pożywić na moich pastwiskach.

Lundin przygryza wąż. Zwilżam kciuk i rzucam pieniądze na stół. W rurach szumi, ktoś właśnie korzysta z waterklozetu na korytarzu.

Rozbrzmiewa dźwięk dzwonka: to otwierają się drzwi zakładu pogrzebowego. Lundin zgarnia pieniądze i wsuwa je do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— No to do zobaczenia jutro rano — mówi. Wkłada na głowę swój wysoki kapelusz, wygładza kłapy marynarki i znów poprawia wąsy. Kiwam głową. Lundin musi się schylić w drzwiach przy przechodzeniu.

Piję łyk kawy, po czym otwieram zatłuszczony i naznaczony śladami tytoniu zeszyt rachunkowy. Siedzę jeszcze długo i próbuję się rozeznąć w liczbach.

*

Kilka godzin później stoję w oknie mojego narożnego mieszkania z notatnikiem w ręce. Nad Syberią zaczyna się zmierzchać. Na Roslagsgatan jakaś starsza kobieta w chustce bije chłopca. Trzyma go za kołnierz i wali pięścią po plecach. Ceglany budynek naprzeciwko, mieszczący pralnię Bedy, przyjmuje głucho odgłosy uderzeń oraz przekleństw im towarzyszących i odbija to wszystko w moją stronę. Palcem wskazującym przesuwam kapelusz na tył głowy.

— Diabelskie nasienie, ty złodzieju jeden!

Staruszka wreszcie puszcza chłopca. Ten pada na trotuar z zakrwawionym nosem. Jego ciałem wstrząsa szloch. Kobieta zbiera w garść spódnice wraz z fartuchem i rezolutnie odchodzi w kierunku południowym, obok sklepu Bruntella i sklepu ze starzyzną Strömsa po drugiej stronie ulicy.

Wyławiam jednego meteora z kieszonki na piersi mojej rozpiętej koszuli i odgryzam końcówkę. W parku Vanadislunden kościół Świętego Stefana bije trzy razy, a z południa echem odzywa się Święty Jan. Tymczasem na ulicy chłopak się podnosi, staje na drżących nogach, wyciera rękawem nos i oddala się w kierunku rogatki Roslagstull. Tłusty szczur przemyka przez ulicę.

— Baba miała siłę w łapach — mruczę sam do siebie.

Zapalam cygaro i wydmuchuję gęsty szaroniebieski dym na szybę. Po drugiej stronie dzień dogorywa w mieszanecie ognistych barw. Za parę godzin będę musiał znów ruszyć do pracy.

Okrażam duże dębowe biurko ustawione naprzeciwko holu. Gruby zielony dywan z orientalnym wzorem pochłania moje kroki. Sze-rokie nogawki spodni ocierają się o siebie z szelestem. Przechodzę

obok wielkiego lustra i naciskam wyłącznik światła przy wejściu do kuchni. Elektryczny żyrandol ma sześć stożkowatych abażurów z ozdobnymi frędzlami. Większość z nich jest poplamiona na brązowo. Tylko cztery żarówki się palą.

Przez chwilę zmagam się z suchym kaszlem, potem siadam w wysokim krześle za biurkiem. Zaciągam się i odkładam cygaro do popielniczki z figurką tańczącej nimfy na środku. Dym ciężko snuje się po mieszkaniu. Moje własne Lützen. Szare smugi omiatają brązowe tapety, próbują zdmuchnąć kurz z pokrytego świńską skórą worka z piaskiem, który dynda w rogu — pełzną w górę po piecu z jasnoniebieskim reliefem stojącym przy drzwiach do przedpokoju. Zawisają na ramionach żyrandola jak szare ozdoby na choince i pieszczą grzbiety książek na małej półce po lewej stronie. Tłoczą się na niej Strindberg i Dahlin oraz pisarze proletariacy i Nilsson Piraten. Wszystkich przeczytałem. I jeszcze więcej, w Bibliotece Miejskiej kilka ulic dalej na południe. Nie tylko bezdomni tam przesiadują.

Zapalam na biurku lampę z zielonym kloszem i mieszkanie staje się trochę jaśniejsze. Jest zagracone pamiątkami z moich lat na morzu. Okręt w butelce, krótki nóż do listów z kości słoniowej z Kaolack i syrena z porcelany siedząca na płaskim kamieniu, przywieziona z Kirkwall. Ściany są gołe, nad biurkiem sterczy krzywy gwóźdź. Za biurkiem leży fotografia Brantinga, która spadła parę lat temu.

Jednopokojowe mieszkanie ma zarówno piec gazowy, jak i opalany drewnem, na klatce schodowej znajduje się pomieszczenie z kłozetem, który dzielę z sąsiadami. Z tego, co słyszałem, Lundin zamówił też do piwnicy wannę, z której będę mógł korzystać. Nie mam co narzekać. Często mąż, żona i zgraja dzieciaków dzielą taką samą powierzchnię. Całe rodziny mieszkają w prawdziwych norach wokół Stadshagen albo Vita Bergen. Gdyby się przejść i poodwracać łódki wyciągnięte na ląd przy Årstaviken, istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakiś ojciec rodziny każe zamknąć drzwi, żeby nie robić przeciągu.

Za oknem przejeżdża z łoskotem szóstka. Otwieram górną szufladę. Jak zwykle zacina się w połowie. Po omacku szukam ręką wśród listów, starych wycinków z czasopisma „Box!”, kawałków zielonego

sukna i masy innych rupieci, które powinienem wyrzucić. Wyciągam półlitrową flaszkę wódki Kron i napełniam kieliszek, który zawsze stoi na biurku.

— No to miłego wieczoru, Kvist!

Ciepła wódka wywołuje dreszcz wzdłuż kręgosłupa, a ja tymczasem otwieram mój notatnik, żeby sprawdzić wieczorną trasę. Od lat prowadzę owocną współpracę ze sklepem i warsztatem rowerowym Wernerssona na Odengatan. Większość firm kurierskich wymaga, żeby posłańcy mieli własny transport, więc wielu ludzi inwestuje w rowery bagażowe. Jeśli potem ich nie spłacają, przychodzę ja i zabieram rower, a Wernersson płaci mi za to do ręki. Mam z tego między dziesięć a trzydzieści pięć koron za obiekt. Biorę dogorywające cygaro i znów je rozżarzam.

Prawie zawsze mam coś do roboty. Ludzie są zdesperowani i biedni, a gdzieś pomiędzy tym wszystkim zjawiam się ja ze swoją brzydką gębą i spuszczam im manto.

Robota na dzisiejszy wieczór to trzy rowery, czarny marki Monark, męski pilen i trójkołowiec adler ze skrzynią z tyłu. Wszystkie adresy są w Vasastan, co jest mi na rękę. Stamtąd mogę łatwo przetransportować rowery do Wernerssona, zanim wrócę na Kungsgatan, żeby odebrać dług u Zetterberga. Ciekaw jestem, czy od wczoraj pozamiatał odłamki lustra?

Za oknem dudni powracający tramwaj. Zapisuję modele rowerów, cyfry tablic rejestracyjnych i adresy, odkładam cygaro do popielniczki i przesuwam kapelusz na czoło. Spoglądam na zegarek. Nie muszę się śpieszyć.

Odchylam się na oparcie i wykładam nogi na biurko. Z kieszeni spodni wypada moneta i turla się po podłodze jak oderwany od munduru guzik po podłodze oficerskiej kajuty. Zamykam oczy i uśmiecham się do tego wspomnienia.

*

Mając sześćdziesiąt pięć jeszcze ciepłych riksdalerów w kieszeni i nieco obolałe kostki dłoni, zamykam drzwi sklepu rowerowego Wernerssons Velocipeder i idę pieszo w górę ulicy Odengatan. Znów

pada deszcz, a przed sklepem Standards hörna stoi ruda kobieta o pełnych kształtach i pali papierosa pod damską parasolką. Odprowadza mnie wzrokiem. Ma szeroki, męski podbródek. Wygląda jak ktoś znajomy, ale nie potrafię jej teraz przypisać do niczego.

Ta cholerna pamięć. Na portowym targu w Maladze oglądałem kiedyś hiszpańskiego marynarza imieniem Ignacio, który był mistrzem zapamiętywania, potrafił zapamiętać kolejność kart całej talii. To była najbardziej niesłychana rzecz, jaką widziałem, nawet lepsza niż boks z niedźwiedziem, który oglądaliśmy godzinę później.

Spoglądam na południe wzdłuż Sveavägen. Przystojny chłopak zwykle przesiaduje ze swoim warsztatem pucybuta u stóp schodów Biblioteki Miejskiej, ale teraz pewnie przepędziła go pogoda.

Przyśpieszam kroku. Czuję w piersiach łaskotanie zbliżającego się napadu kaszlu.

W najwyższym punkcie ulicy dostrzegam już przez ogołoczone z liści gałęzie lip potężną kopułę kościoła Wazy. Nie zwracam uwagi na kaszel, ostatni kawałek pokonuję półbiegiem.

Na platformie między torami tramwajowymi a jezdnią dla autobusów sprzedawca wskazuje zachęcającym gestem gałązki jedliny i snopki ze słomy. Dobrze wie, jak się należy ubrać, ma porządną futrzaną krymkę i chodaki wypełnione słomą. Potrząsam przecząco głową.

Od półbiegu serce mi się tłucze między ścianami klatki piętrowej. Wrzucam do skrzynki pocztowej krzyżówkę z gazety „Social-Demokraten”. Wysyłam ją co tydzień, bo za prawidłowe rozwiązanie obiecują pieniądze, choć nigdy jeszcze nie zobaczyłem ani grosza.

Zegar na kościele Wazy wybija szóstą. Zaledwie kilka lat temu tu na wzgórzu znajdowało się chłopskie gospodarstwo, można było usłyszeć porykiwanie krów podczas wieczornego udoju. Teraz słychać tylko przeciągły szum silników, chrypiące klaksony ciężarówek, fabryczne gwizdki i dzwonki tramwajów.

Coraz więcej ludzi w drodze z pracy do domu tłoczy się pod wiatą przystanku, niedługo będzie tam tak pełno jak na plaży Söderbadet w soboty. Jakaś kobieta w długim do kostek szarym płaszczu strząsa wodę z parasolki.

— Uch, co za pogoda!

— To jest nawet gorsze niż śnieg.

Facet w kaszkiecie i długiej niebieskiej koszuli pod marynarką patrzy zmrużonymi oczami w górę na ciężkie od deszczu chmury. Dama z parasolką przez chwilę lustruje go z góry na dół.

— Wygląda na to, że i śnieg wkrótce spadnie.

Tak samo jak wczoraj jadę tramwajem numer trzy do Norra Bantorget, a potem pokonuję pieszo krótki odcinek do Kungsgatan.

Stoję chwilę przed cieszącym się renomą sklepem obuwniczym Lennartssona na Vasagatan, kiedy znienacka nachodzi mnie nieprzyjemne poczucie niepokoju w okolicach żołądka. Nie wiem dlaczego. Coś zdaje się nie tak, i nie są to tylko moje przemoczone buty.

Dwukrotne kiblowanie na Långholmen za pobicie i lata użerania się z glinami sprawiają, że wyczuwam ich z daleka. Przez całe dorosłe życie miałem problemy ze stróżami prawa.

Wystarczy nosić błękitny kołnierzyk, żeby nie przepuścili człowiekowi, w parkach, w publicznych kąpieliskach, nawet w szaletach.

Wsuwam do ust świeżo zapalone cygaro, wkładam ręce do kieszeni i idę szybkim krokiem do skrzyżowania z Kungsgatan. Wyglądam zza rogu.

— Jasny szlag niech to trafi!

Wyjmuję z ust cygaro, żeby zakląć. Wejścia do domu Zetterberga pilnuje dwóch umundurowanych policjantów. Na ulicy stoi wóz strażacki zaparkowany obok karawanu. W bramie naprzeciwko zebrała się barwna, rozplotkowana grupka gapiów, mężczyźni, kobiety i mali chłopcy. Stawiam kołnierz mojego ulstera i podchodzę do nich.

— Ktoś się tam spalił w nocy — odpowiada wyglądająca na biuralistkę kobieta w kostiumie spacerowym i niebieskim płaszczu, kiedy próbuję się czegoś dowiedzieć. — Jakiś Zettergren chyba.

Zaciskam dłoń w pięść.

— Zetterberg — poprawia ją jakiś goniec, któremu najwyraźniej nigdzie się nie śpieszy.

— Sam odkręcił gaz — mówi siwy mężczyzna z bródką podpierający się elegancką laską. Jego słowa potwierdza jeszcze kilka osób w tłumie. Usłyszałem już dość.

To nie pierwszy raz jakiś zadłużony nieszczęśnik decyduje się na takie wyjście z sytuacji. Wręcz przeciwnie, teraz nawet dyrektorom i wyższym urzędnikom coraz częściej zdarza się bez pożegnania wyjść przez okno.

— Jeszcze go nie wynieśli — odzywa się dama w kostiumie. Jej oczy błyszczą jak u kogoś, kto zwietrzył krew.

— Dlaczego nie?

— Mówili, że czekają na lekarza.

Znienacka zaczyna mnie boleć głowa. Wyjmuję cygaro z ust i masuję czoło u nasady nosa. Powiniennem potraktować go łagodniej.

— Mogłem sobie darować to lustro.

— Słucham?

Staruszek z bródką patrzy na mnie przymrużonymi oczami.

— Ale co „słucham”?

— Pan mówił coś o lustrze.

— Nawet jeśli, to co z tego.

Jeden z gliniarzy grozi wyciągniętą szablą grupce ciekawskich dzieciaków. Ulicą przejeżdża do połowy wypełniony tramwaj, na sprzęgu ostatniego wagonu jedzie na gapę mały chłopiec.

— Właśnie wychodzą!

Kobieta obok mnie wykrzykuje to falsetem. Najpierw wychodzi młody otyły mężczyzna ubrany w za ciasne spodnie, które opinają jego masywne uda. Niesie nosze. Zetterberg jest nakryty białą płachtą. Drugi koniec noszy trzyma w rękach niewysoki człowiek. Na jego twarzy widnieje grymas wysiłku, jest cała czerwona. Pamiętam te schody do mieszkania Zetterberga na najwyższym piętrze.

W połowie drogi do karawanu ramię Zetterberga zsuwa się z noszy. Opada bezwładnie w dół i dynda jak wahadło. Sygnet zjeżdża ze szczupłego palca trupa i uderza o bruk. Kilka razy odbija się od podłoża, aż zatrzymuje się w rynsztoku.

Przez grupkę gapiów przechodzi szmer. Facet na końcu noszy klnie cicho pod nosem. Zgina nogi, opiera uchwyty noszy na udach i wyciąga rękę po sygnet. Przez moment zdaje się, że zrzuci zwłoki, ale w ostatniej chwili udaje mu się dosięgnąć celu i znów jest w stanie utrzymać Zetterberga. Kobieta obok mnie aż sapie z emocji.

Zimny, gryzący grudniowy wiatr wciska się pod kołnierz i do rękawów, po swoim dotyku pozostawia gęsią skórkę. Moje stopy nigdy nie były tak zimne.

*

Dzwonek w drzwiach odzywa się zapraszająco, kiedy jakieś pół godziny później wchodzę do Lundina. Przekraczając próg, pochylam głowę. Zakład pogrzebowy ugina się pod ciężarem całego pięcioletniego domu jak tragarz pod ciężarem pianina.

Biuro składa się z niewielkiej zadymionej recepcji, paru krzeseł dla klientów, telefonu i palmy o brązowych liściach.

Kobieta siedzi zwrócona do mnie plecami. Pod czarnym kapeluszem widoczny jest siwy koczek. Głowę ma spuszczoną. Jej ramiona co jakiś czas drgają, ale ona nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Długa spódnica wymiotła po drodze brud z rynsztoka.

— Możemy zamówić bardziej elegancki karawan z wypożyczalni Freya, jeśli pani sobie życzy — mówi Lundin swoim delikatnym tonem sprzedawcy.

Spogląda na mnie ponad głową kobiety i ruchem głowy wskazuje telefon na ścianie. Zaprzeczam. Na ulicy trąbi samochód, odpowiada mu kilka wzbudzonych głosów. Grupa chłopców krzyczy coś w podnieceniu. Podnoszę do ust niewidzialną butelkę, jakbym pił. Lundin znów kiwa głową. Starsza kobieta smarka głośno. Ja stoję i drepczę w miejscu.

— A co będzie z kwiatami?

Na zewnątrz stukot końskich kopyt. Przejeżdżam dłonią po brodzie i cmokam suchymi ustami. Po kolei zaczynają wybijać siódmą — kościół Świętego Stefana, potem Jana, a na końcu zegar z Ameryki w mieszkaniu za zakładem.

Ślub i pogrzeb uprawniają do zwiększonych przydziałów wódki, więc Lundin część zapłaty często bierze w postaci spirytusu, który potem drogo sprzedaje albo rozcieńcza płynem do balsamowania i sprzedaje tanio. System reglamentacji alkoholu, zwykł mawiać, to najlepsze, co się przytrafiło temu krajowi, zaraz po epidemii hiszpan-

ki. Butelki przechowuje w najbezpieczniejszym miejscu: w dziecięcej trumience w chłodni. Biorę głęboki oddech i zapinam płaszcz.

Pomieszczenie ma niecałe dwadzieścia metrów powierzchni i jest bez okien. Ściany są wyłożone kafelkami z białej porcelany. Panuje tu przenikliwy i bezlitosny chłód. W powietrzu wisi zapach zapomnianych gnijących kwiatów. Na jednej z długich ław stoi duża czarna trumna, na drugiej dwie małe białe trumienki, najprostsze modele.

Pod ławami znajdują się wielkie balie, w których Lundin latem umieszcza zwykle wielkie bloki lodu pod przykryciem z trocin. Kiedy podchodzę do drewnianych skrzyń, samotne echo moich kroków odbija się od pustych ścian. Pod każdą z balii znajduje się studzienka odpływowa.

Wsuwam palce pod brzeg wieka jednej z dziecięcych trumienek. Czuję pot wyływający z porów skóry. Dłonie dygoczą. Paznokcie ślizgają się na krawędzi. To brzmi tak, jakbym siedział u operatora nadajnika Marconiego na zagrożonym statku.

— Do diabła, Kvist.

Nie poznaję swojego głosu. Wieko się podnosi. W środku leżą butelki ułożone w równe rzędy, owinięte w cienki brązowy i zielony papier. Nie sprawdzam, skąd pochodzą.

— Pół litra — mówię bezgłośnie do Lundina, wychodząc z pomieszczenia, i pokazuję mu flaszkę. Ten kiwa głową. Nad drzwiami wisi makatka z napisem „Porządek ponad wszystko” wyhaftowanym czerwoną nicią.

Chwilę później siedzę w kuchni. Na parapecie leży zakurzona, nakrapiana na brązowo muszla z sześcioma wypustkami jak pająk. W piecu trzaska ogień. Podłogę pokrywa kilka szmacianych dywaników od Ströma. Obok pieca stoi kosz z drewnem i krótka siekiera. Cygaro gaśnie w popielniczce.

Siedzę przy stole i wlewam w siebie pół litra Taffel Akvavit. Rozpiąłem koszulę, włosy mam zmierzwione. Wczorajsza gazeta leży przede mną nietknięta. We czterech dzielimy się z sąsiadami prenumeratą „Social-Demokraten”, ja dostaję gazetę na końcu, pod warunkiem że krzyżówka nie będzie rozwiązana. Pierwsza strona ogłasza,

że spółka zapalczana Tändsticksbolaget ma nowy zarząd. Dyfteryt panuje w parafii Świętej Katarzyny, a Hitler i jego skauci szaleją po Berlinie.

W radiu spirytysty za ścianą wyje jazzowa trąbka. Akwawit szumi w moim krwiobiegu i sprawia, że tętnica na czole zaczyna pulsować. Dłonie spoczywają na stole między butelką a kieliszkiem. Trener zawsze mówił, że są za małe jak na moją siłę. Blizny jedne na drugich pokrywają kostki, palce są zakrzywione od drobnych złamań. Mały palec lewej dłoni kończy się w połowie pączkiem czerwonej pofałdowanej skóry. Czasem czuję jeszcze przesywający ból tam, gdzie powinien znajdować się koniec palca, żelazo przegryzające się przez ciało i kość. To, czego już nie ma, boli najbardziej.

Podnoszę dłoń i patrzę na spękaną fotografię, którą schowałem pod spodem. Mrużę jedno oko.

Ma cienkie mysie warkoczyki i chabrową sukienkę. Wiem to, bo sam kupiłem tę sukienkę tego dnia, kiedy zaniósłem ją na ramionach do fotografa. Jest raczej córką swojej matki, ma jej oczy, usta też.

Znów zapalam cygareto zapałniczką. Czytam imię na niej wygrawerowane i przypominam sobie dłoń Leonarda na moim policzku. Pusty kieliszek po wódce podskakuje, kiedy walę pięścią w stół. Jeszcze raz nalewam sobie do pełna. Podnoszę kieliszek i bełkoczę:

— Zetterberg! Twoje zdrowie, nieszczęsny desperacie! Właśnie orznąłeś mnie na czterysta pięćdziesiąt riksdalerów.

Odrzucam do tyłu głowę i wlewam sobie zawartość kieliszka do gardła.

Gdzieś od strony Vanadislunden dobiega szczekanie psa. Wyglądam przez kuchenne okno. Na wzniesieniu góruje wielki, ciemny zbiornik z tysiącami litrów wody wewnątrz. Wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby ten ogromny ceglany budynek pękł, jak woda zaczęłaby spływać po zboczach niczym potop, i zabrałaby ze sobą pół dzielnicy.

Napełniam kieliszek po raz ostatni, rozwijam list Elofssona, który leżał złożony na kuchennym stole. Czytam go jeszcze raz. Krzesło przewraca się, kiedy wstaję. Śmieję się głucho. Przez moment się zataczam, potem odzyskuję równowagę i podchodzę do pieca.

Pogrzebaczem otwieram drzwiczki. Żar bucha na moje dłonie.
Wrzucam list do ognia i wracam do stołu. Przepijam do nikogo,
w powietrze. Wódka rozgrzewa mi piersi i żołądek.

Lekko wstawiony, biorę donośne pukanie za uderzenia młotka
Lundina, który w zakładzie przybija wieko kolejnej biedatrumny,
ale wkrótce dociera do mnie, że to ktoś dobija się do drzwi.

Łomocze jak policja.

Notatki

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Kiedyś Harry Kvist był niezłym bokserem. Miał na koncie sporo sukcesów. Obecnie zajmuje się głównie piciem (w ciągu dnia) i ściągnięciem długów (w nocy). Obraca się wśród drobnych złodziejasków, dziwek i alfonsów, a w jego łóżku lądują zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Jego świat wali się nagle w gruzy, gdy którejś paskudnej grudniowej nocy odwiedza dłużnika nazwiskiem Zetterberg. Tej samej nocy Zetterberg zostaje zamordowany, a Kvist staje się głównym podejrzanym. W poszukiwaniu jedynej osoby, która może oczyścić go z zarzutów, Harry zagląda do melin i slumsów, do eleganckich hoteli i ekskluzywnych nocnych klubów. Staje twarzą w twarz z mordercami i arystokratami. Znow musi stanąć do walki — ale tym razem stawka jest wysoka jak nigdy przedtem.

Trzymasz w ręku pierwszy tom trylogii o Harrym Kviście. Akcja tej intrygującej, mrocznej powieści toczy się w ciemnych zaułkach Sztokholmu lat 30. XX wieku, w czasach gdy kryzys gospodarczy uderza w Szwecję z całą siłą. To historia pełna brutalnej przemocy, bez niedomówień. Wątek tajemniczego morderstwa powoli snuje się wśród sugestywnych obrazów brudnego i zatłoczonego miasta, w którym króluje bezprawie. Napięcie i groza będą Ci towarzyszyć od pierwszej do ostatniej strony tej opowieści...

MARTIN HOLMÉN — nauczyciel historii i języka szwedzkiego w szkole średniej w Sztokholmie. Jest autorem trzymających w napięciu thrillerów, zaliczanych do najlepszych powieści z gatunku noir fiction, o niepowtarzalnym szwedzkim klimacie.

 **editioblack**



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

- <http://editio.pl/promocje>
- Książki najchętniej czytane:
- <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
- <http://editio.pl/nowosci>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-2607-1



Cena 39,00 zł